

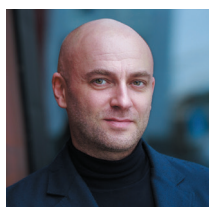
Czas wolny w miastach – przyszły, niedokonany*

30 VI 2022



prof.
ŁUKASZ AFELTOWICZ

AGH w Krakowie



prof.
TOMASZ SZLENDAK

Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu

Miasto – środowisko, w którym żyje większość z nas, można potraktować jako swoistą technologię (lub zestaw takowych). Kształtuje ono zmiany w czasie wolnym, reaguje na nie. Archeolog, patrząc na to jak wyglądają nasze aglomeracje, mógłby powiedzieć sporo o czasie wolnym ich mieszkańców. Przyglądając się różnym technologiom, spróbujemy nakreślić jak może wyglądać nasz odpoczynek i rozrywka w przyszłości i jak wpłynie to na charakter miast. Przedstawiamy cztery skrajne scenariusze. Ich przerysowany charakter jest zamierzony: wizje te mają nie tyle przygotować nas na przyszłość co zmusić do myślenia i do działania już teraz.

Czas wolny nieustannie ewoluuje. Zmienia się jego wolumen, to jak go spędzamy i to jak go definiujemy. Jest on wynalazkiem cywilizacyjnym, który pojawił się późno, wraz z instytucjonalizacją pracy zawodowej. Nie oznacza to wcale, że wysiłki nakierowane na utrzymanie zajmowały nam wcześniej więcej czasu niż dziś. Wręcz przeciwnie, łowcom-zbieraczom zapewnienie egzystencji zajmowało kilka lub kilkanaście godzin tygodniowo, co jest wynikiem imponującym w porównaniu z naszym kilkudziesięcio-godzinnym tygodniem pracy.

“ **Dziś coraz częściej zaciera się granica między pracą a czasem wolnym, przy czym to raczej praca kolonizuje czas wolny, a nie na odwrót.**

Czynnikami, które wpływają na zmiany czasu wolnego są technologie. Nie chodzi wyłącznie o high-techowe gadżety czy algorytmy. Miasto – środowisko, w którym żyje większość z nas – to też swoista technologia (lub zestaw takowych). Kształtuje ono zmiany w czasie wolnym, reaguje na nie. Archeolog, patrząc na to jak wyglądają nasze miasta, mógłby powiedzieć sporo o czasie wolnym ich mieszkańców. My zaś, przyglądając się tym technologiom, spróbujemy nakreślić jak może wyglądać nasz odpoczynek i rozrywka w przyszłości.

Nie staramy się powiedzieć jak będzie, ale zastanawiamy się jak może być. Kreślimy tu cztery scenariusze, abstrakcyjne i celowo przerysowane. W każdym z nich „bawimy się” wybranymi konceptami i trendami. Formułujemy je krzyżując ze sobą następujące opozycje: (a) kolonizacja czasu wolnego przez pracę vs restytucja i poszerzenie czasu wolnego jako oddzielnej sfery życia, (b) siły rynkowe jako główny motor zmian vs procesy pozarynkowe. Oczywiście przyszłość, która faktycznie nadejdzie, może być jakąś wypadkową naszych wizji, ich mieszkanką, wypośredkowaniem albo czymś zupełnie innym. To nieważne, bo wizje te nie tyle mają przygotować nas na przyszłość, ile zmusić do myślenia już teraz. Nie na wszystko mamy wpływ, ale wiele rzeczy będzie zależnych od przyjętych polityk, od stanu gospodarki, od naszych działań zbiorowych i masowych.

Skoro scenariusze mają stymulować myślenie, staramy się je uczynić możliwie osobistymi. Dlatego każdą z odsłon zaczynamy od narracji pierwszoosobowych. Staramy się w ten sposób więcej pokazać, a mniej wytłumaczyć. Robimy tak ze wszystkimi ze scenariuszy poza pierwszym, najbliższym czasowo i najbardziej prawdopodobnym, gdzie pojawia się rozbudowany komentarz służący nakreśleniu procesu zachodzącego tu i teraz: kolonizacji czasu przez pracę.

“ **Archeolog, patrząc na to jak wyglądają nasze miasta, mógłby powiedzieć sporo o czasie wolnym ich mieszkańców. My zaś, przyglądając się różnym technologiom, spróbujemy nakreślić jak może wyglądać nasz odpoczynek i rozrywka w przyszłości.**

Odsłona pierwsza: eksplozja czasu pracy

O 8:30 zadzwonił budzik. Sygnał był delikatny, zaledwie sugestia, by wstać. Ale Asystent dobrze mnie znał: znał mój kalendarz i wskaźnik HRV. Byłem zregenerowany, choć wczoraj spotykałem się z ludźmi do późnych godzin. Dostałem całkowicie zbędne powiadomienie na ścianie. Że niby o 11.00 jestem na stand-upie w siedzibie. Zbędne, bo stand-up o tej porze jest każdego dnia.

Lokalizator pokazywał, że Marta jest w szkole. Odprowadziła ją Weronika. Wiedziała, że dziś nie byłbym w stanie zająć się Martą, choć miał to być czas wysokiej jakości z córką. Zrobiłem notatkę, by im to jakoś wynagrodzić. Ale to sprawa na potem.

Teraz muszę przesłuchać zapiski z wczoraj i zrobić jakiś brief. Założyłem strój i buty biegowe. Wyszedłem z apartamentowca, złapałem butelkę z płynem w sklepie i zacząłem zaplanowane 10k. Asystent twierdził, że optymalnie powinienem zrobić je w 45 minut. Przez pierwszy kwadrans Asystent da mi spokój, przy okazji blokując wszystkie połączenia i wiadomości. Teoretycznie to mój czas, sam na sam z organizmem. W praktyce to kolejna pozycja z listy rzeczy do odhaczenia. Gdy wejdem na wyższe obroty, Asystent zacznie mi odtwarzać notatki głosowe i zamówione wczoraj przed snem zestawienia (przygotowane przez „Turków” albo przez algorytmy, sam nie wiem...). Na razie jednak mogłem patrzeć na mijane w biegu deptaki, aleje i place, wzdłuż których stały apartamentowce, sklepy, restauracje, biura, przestrzenie co-workingowe, fabrykatornie. Pełna mozaika oferująca wszystko, czego każdy potrzebowałby od ręki. Resztę można zamówić i odebrać w ciągu dwóch dni. Mały, bogaty ekosystem e-commerce i usług stacjonarnych.

Przestrzeń działała tak, jak ją zaprojektowano. Praktycznie każde miejsce miało przynajmniej dwie funkcjonalności (najczęściej więcej). Kawiarnia zamieniała się wieczorem w bar z jedzeniem ulicznym. Fablab był zamknięty w nocy, ale zaprogramowane urządzenia wykonywały zlecenia komercyjne. Co-work regularnie zamieniał się w iwentownię. Moja poprzednia firma, która wywodziła się z podobnego miejsca, zaprojektowała im na potrzeby tych iwentów specjalne, modułowe meble. Co-work był także cukiernią rzemieślniczą, zaopatrującą tutejsze kawiarnie. Najlepsze piwo robił Mateo z sąsiedniego apartamentowca. Przestrzeni roboczej udzielił mu jeden z fablabów, a kwestie prawne wyprostowała kancelaria, która specjalizowała się w obsłudze start-upów.

Nikt, ale to nikt nie robił tu po prostu tylko jednej rzeczy. Baristka w przerwach na studiowanie obmyśliła plan biznesowy swojej palarni. Konsultowałem pomysł, a potem za mikro-udziały zgodziłem się jej pomóc w projektowaniu doświadczeń. Mateo, ten od piwa, był brokerem finansowym. Trudno orzec, co stanowiło jego hobby, a z czego się utrzymywał. Weronika miała praktykę lekarską, ale nawet ona angażowała się w rozmaite inicjatywy start-upowe. W tej chwili pewnie konsultowała projekt robiony z Koreańczykami, który dotyczył uzależnienia od mediów.

Wszyscy tu bez wyjątku pracowali nad sobą i się z tym nie kryli. Treningi, terapie, kołczingi, szkoły gotowania. W parku medytowała mała grupka „uważnych”. Po deptaku spacerowali pojedynczy ludzie pogrążeni w rozmowach ze swoimi terapeutami. Jedna z restauracji w ramach szkolenia odślaniała swoje zaplecze: goście brali udział w przygotowaniu składników, z których potem będą serwowane dania. Mieliśmy tam zarezerwowany stolik na dziś wieczór.

Asystent zaczął mnie częstować pakietem informacji. Przerywał tylko po to, by kierować mnie na skrzyżowaniach. Tak, bym nie zboczył z trasy. Podsumowanie skończyło się w momencie, gdy przyszedł czas na ostatni, intensywny etap biegu. Wyrzuciłem butelkę po elektrolicie do recyklopatu i pocisnąłem. Trasa kończyła się na placu do ćwiczeń ulicznych w pobliżu mojego apartamentowca.

Podyktowałem notatkę, uzupełniłem kalorie, wziąłem prysznic, przeczytałem zredagowane zapiski („Turek” czy maszyna?). Nic nowego nie przyszło mi do głowy, więc je wysłałem. Miałem jeszcze trochę czasu, poszedłem na śniadanie po sąsiedzku. Owszem, mogłem usiąść w tej części sali, w której nieustannie „przelewała się wiedza”, ale dziś wybrałem miejsce ustronne, z dala od szmeru. Asystent grzecznie się ładował, ja piłem kawę, algorytm zadbał o mój mailing, więc miałem czas na mikro-zlecenie. O 10:55 poszedłem na spotkanie.

Kolonizacja czasu wolnego przez pracę to sytuacja, którą łatwo sobie wyobrazić. Wystarczy przeprowadzić niewymagającą bujnej wyobraźni ekstrapolację tego, co obserwujemy w rozwiniętych gospodarkach obecnie. Praca znajduje wiele sposobów, by nas atakować i ograbić z czasu wolnego. Godziny pracy eksplodowały rozsypując się po naszej codzienności. W ten sposób czas wolny to gatunek zagrożony wyginięciem. Za sprawą pracy rozlanej po całym dniu, całym tygodniu i całym miesiącu, nigdy nie mamy go pod dostatkiem.

“ **Kolonizacja czasu wolnego przez pracę to sytuacja, którą łatwo sobie wyobrazić. Wystarczy przeprowadzić niewymagającą bujnej wyobraźni ekstrapolację tego, co obserwujemy w rozwiniętych gospodarkach obecnie.**

Atak pracy na czas wolny nigdy nie jest atakiem frontalnym. Przypomina raczej działania dywersyjne. Te same narzędzia, którymi posługujemy się w pracy są naszymi wrotami do świata rozrywki i wypoczynku. Bawiąc się i wypoczywając jesteśmy „dawcami danych”, czyli wykonujemy nieodpłatną krypto-pracę generując zasoby dla gigantów gospodarki 4.0. Firmy wymyślają sposoby, by wyłudzić od pracowników dodatkowe godziny pracy oferując różnego rodzaju udogodnienia w swoich siedzibach i frykasy w kantine. Praca świadczona spoza biura wcale nas nie chroni przed utratą czasu wolnego, bo nowe media sprawiają, że jesteśmy cały czas dostępni dla pracodawców i non-stop bodźcowani. Taka „relaksaca” – praca pozornie nieodróżnialna od zabawy – może skutecznie zepsuć nam dzień, samopoczucie, podnieść poziom stresu, a w konsekwencji pogorszyć zdrowie. Żeby tego uniknąć staramy się odciąć od pracy, jednak odcięcie się od niej wymaga sporej dyscypliny. Jest indywidualną potrzebą, nie zaś czymś, co zapewnia system.

Niektórych rzeczy nie da się robić na raty, w czasowych okienkach. A przynajmniej trudno nam to sobie wyobrazić, kiedy myślimy o towarzyskości i praktykach więziotwórczych. Jak w warunkach pracy, która eksplodowała wychowywać dzieci? Jak budować związki? Jak je podtrzymywać będąc jedną nogą w pracy? A co z byciem we wspólnocie?

Hartmut Rosa przekonuje dziś, że nowoczesne społeczeństwa, sterowane poprzez przyspieszenie i wzrost, stały się pułapkami, w których skazani jesteśmy na wyobcowanie. Późnonowoczesna rzeczywistość jest dla wielu z nas czymś jak kołowrotek dla chomika. Wysokie tempo, tajmlajny i dedlajny, niekończąca się lista rzeczy do zrobienia. Owszem, cieszymy się lepszą pracą, większym prestiżem, zabezpieczeniem ekonomicznym, większymi szansami żywotnymi i dobrymi notowaniami na rynkach matrymonialnych. Zarazem jednak stoimy na śliskim zboczku: stając w miejscu na moment ryzykujemy, że zsunie się i runie w dół. Dlatego usiłujemy pozostać w ciągłym ruchu wspomagani przez rozmaitych cyfrowych Asystentów.

Nasz niepokój wynikający z nieustanego pędu i aneksji całego życia przez pracę znajduje wiele ujść. Kompulsywnie przekształcamy swoje materialne otoczenie chcąc odzyskać poczucie sprawstwa. Bezustannie przearanżujemy mieszkania. Zmieniamy hobby. Eksperymentujemy z dietami. Zmieniamy zestawy kuchenne. Wymieniamy sprzęt elektroniczny i pojazdy. Czasami problem atakujemy frontalnie i zaczynamy pracować nad swoimi „wadami”, poprzez trening lub terapię.

“ **Nasz niepokój wynikający z nieustanego pędu i aneksji całego życia przez pracę znajduje wiele ujść. Kompulsywnie przekształcamy swoje materialne otoczenie chcąc odzyskać poczucie sprawstwa lub zaczynamy pracować nad swoimi „wadami”.**

Na to nakłada się specyficzna forma stygmatyzacji. Osoba, która nie „zalewa po korek” swojego czasu wolnego pracą (zawodową, nad sobą) może być odbierana jako dezertor. Ale rynek oferujący zorganizowane, czasami grupowe, formy dezercji rozwija się. Cyfrowy detoks, dwutygodniowe rekolekcje u Jezuitów, kurs z zakresu *mindfulness*? Proszę bardzo! Oczywiście, nawet gdy stawiamy w ten sposób opór, nasz czas jest porządkowany, zagospodarowywany.

Dezercja wymaga odpowiednich ram, nie tylko instytucjonalnych, ale także materialnych. Takich ram dostarczają miasta. Mogą one sprzyjać kolonizacji czasu wolnego przez pracę lub tę kolonizację spowalniać. Planistycznym wynalazkiem, który jest wehikułem kolonizacji czasu wolnego przez pracę są projekty urbanistyczne typu dzielnice innowacji. W założeniach są to przestrzenie wielofunkcyjne, w obrębie których mamy możliwość pracować, rozwijać biznesy (najczęściej z branż wysokich technologii), spędzać czas wolny, dbać o gospodarstwa domowe i rodzinę. W praktyce w tego typu miejscach wciąż dzielimy się pomysłami, wiedza przelewa się non-stop, czy to w księgarni, kwiaciarni, czy na placu zabaw.

Miasto może być równie dobrze wyposażone w rozmaite falochrony utrudniające pracy wdzieranie się w głąb naszego czasu wolnego. Zagłuszacze sygnałów i kawiarnie bez WiFi to dość stare pomysły. Miejskie instytucje mogą zapewniać przestrzenie do praktykowania dezercji (co już się obecnie dzieje). Kluczową funkcją takich miejsc byłoby przede wszystkim pokazanie, że wcale nie musimy, że na chwilę można przystanąć.

“ **Miasto może być równie dobrze wyposażone w rozmaite falochrony utrudniające pracy wdzieranie się w głąb naszego czasu wolnego. Jego instytucje mogą zapewniać przestrzenie do praktykowania dezercji.**

Założmy, że udaje nam się – głównie własnymi siłami – wygospodarować czas wolny. Jego deficytowość sprawi, że możemy nie chcieć trwonić go na rzeczy nieekscytujące. Tristan Garcia pisze o etycznym imperatywie intensywnego życia, którym wielu z nas się kieruje. „Intensywność” to słowo kluczowe nie tylko z perspektywy praktyk społecznych. Dyktuje ona kierunki miejskich przemian. Miasto ma dawać nam dostęp do puli pobudzeń albo protez ekscytacji, których od oryginału nie będziemy w stanie odróżnić. Areny sportowe, hale koncertowe, centra handlowe – wszystko to tylko część infrastruktury podniety. Miejskimi maszynami do zaspokajania potrzeb są też festiwale, festyny i weekendowe wyjazdy mieszczan z jednego miasta do innego. Oto w jednej przestrzeni, w krótkim czasie kondensuje się wiele różnorodnych pobudzeń. Ofertę uzupełniają impulsy punktowe, jak choćby te, których dostarczą nam mini-maszynki w stylu *escape rooms*. Tematyka ekscytacji bywa też pomysłowa. Oferta obejmuje możliwość udziału w „niestandardowych” praktykach religijnych lub wycieczkę po miejscach słynnych miejskich zbrodni. A wszystko po to, by zatrzymać nas w mieście zaplanowanym i zbudowanym jako maszynka do nieustannej pracy przetykanej od czasu do czasu drobinami ekscytacji.

“ **Miasta coraz częściej mają dawać nam dostęp do puli pobudzeń albo protez ekscytacji. Wiele z dzielnic zamienia się powoli w środowiska sprzyjające pracy bez granic, przetykanej od czasu do czasu drobinami ekscytacji.**

Odsłona druga: anty-solarpunk

Słońce zajrzało przez okno sypialni. Rolety zareagowały, choć odrobinę za wolno. Reszta domu spała, ale wiedziałem, że ja już nie zasnę. Po cichu przejrzałem wskaźniki: temperatura w normie, stan akumulatorów w porządku, szarej wody było wystarczająco, jednak któreś z nas się zapomniało i poziom słodkiej wylądował na pomarańczowym. Będzie trzeba zwrócić na to uwagę przy śniadaniu. Bez dochodzenia kto i dlaczego: ot tak, po prostu, wszyscy będziemy musieli przyoszczędzić. Tym bardziej, że zalegałem z robotą hydrauliczną, do której nie wiedziałem jak się zabrać. Poproszę Krzysztofa o pomoc, bo wciąż wisi mi przysługę za heroiczną walkę z jego rozdzielnicą. No cóż, gdy chodzi o elektrykę uchodzę za dzielnicowego mistrza wiecznych prowizorek. Szkoda tylko, że nie naprawiłem silnika frezarki. Jej części walały się po blacie w przedpokoju.

Odświeżyłem się i zacząłem myśleć o posiłku. Odmierzyłem porcję ryżu i nastawiłem gotowarkę. Jest jeszcze wędzona ryba. Kiszonki powinny być dobre, nastawiałem je dwa tygodnie temu. Do tego jakaś sałatka. Uszczknąłem trochę zieleniny z hydroponicznej uprawy na parapecie. Szkolny projekt Marty, mojej córki, działał zaskakująco dobrze. Taka miniatura dużego ekosystemu, który widniał za oknem w miejscu niegdysiejszego parku. Choć wiem, że nie było to wyłącznie jej dzieło, pękałem z dumy. Wmasowałem tłuszcz w liście, ale nie wrzucałem jeszcze soli. Sprzątnąłem stół. Odpadki biologiczne trafiły do zsypu.

Miałem chwilę, by przejrzeć dziennik na czytniku. O, zostałem wybrany do lokalnej komórki planowania. Szkoda, wolałbym zabrać się za zaległe lektury lub dokończyć swoją dysertację z gospodarki obiegu zamkniętego. Ale wiem, wiem. Wsumie to moja kolej. Poza tym może uda się ich namówić na eksperyment z hydroponiczną hodowlą kawy. Wciąż miałem dostęp do instrukcji i sadzonek.

Przejrzałem grafik prac. Wskaźniki pogodowe w normie. Brak przewidywanych przerw w dostawach prądu. Kilka rzeczy do skontrolowania: trzeba nakarmić ryby w zbiornikach, sprawdzić stężenia w mieszankach hydroponicznych. Weronika jak zwykle idzie do kliniki. Marta zostanie ze mną. Będziemy gościć jej klasę. Sprawdzę czy rozumieją, jak działa dzielnicowa hodowla hydroponiczna i czy rozróżniają stosowane gatunki. Wolałbym, żeby dzieciaki nie dotykały sprzętu, ale nie ma innego sposobu, by zrozumiały jak działa to nasze wspólne pastwisko. Pewnie będę musiał wieczorem wszystko jeszcze raz skontrolować, wyregulować i znowu padnę na twarz.

Wrócił Tiko. Drapie w drzwi, na dole musiał ktoś cwaniaka wpuścić. Pojawił się akurat na śniadanie. Po prawdzie on też, biedak, ciężko pracuje i należy mu się chwila wytchnienia. Bez kotów trudno poradzić sobie z komensalami. Katastrofa klimatyczna nam wystarczy, nie potrzebujemy na dokładkę epidemii. W sąsiedniej dzielnicy zatrudnili do tego sokoły.

Dobra, poczekamy we dwóch aż dziewczyny wstaną.

Przyszłość, w której nowoczesność zwiędła krótko po tym, jak skutecznie podkopała własne fundamenty wywołaną przez siebie samą zmianą klimatyczną, to z pewnością scenariusz, który trzeba rozważyć. Zmiana klimatu i pandemia to uboczne efekty modernizacji. Katastrofa

klimatyczna okaże się szokiem dla systemu społecznego. Będziemy postrzegali go jako egzogeny, choć to jedynie konsekwencja tego, jak przez dekady działał stworzony przez nas system. W tym scenariuszu wracamy do sytuacji, w której czas wolny się kurczy, ponieważ – jeśli będziemy chcieli skutecznie unikać konsekwencji zmiany klimatycznej – będziemy zmuszeni do koncentracji na utrzymaniu samych siebie, swoich gospodarstw domowych i sąsiedztw. Skurczy się nam wtedy świat. Znaczenia zaczną nabierać przestrzenie „moje” – moje miasto, moja dzielnica, mój blok – które zaczną funkcjonować, dosłownie, na zasadach wspólnych pastwisk. Liczyć się będzie to tylko, co damy radę zrobić z zasobami dostępnymi tu i teraz.

Dodajmy, że nie jest to typowa wizja post-apokaliptyczna. To raczej komiksowy anty-solarpunk. W tej odsłonie dominują, obecne w miejskiej przestrzeni już dziś, interwencje spod znaku nieformalnej urbanizacji i taktycznego urbanizmu. Być może jak majsterkowicze będziemy przebudowywać nasze miasta zamieniając parki w hodowle, termomodernizować zabudowę mieszkalną, a naszym głównym zmartwieniem będą kanalizacja i zaopatrzenie w wodę. Być może trzeba będzie odkurzyć doświadczenia z Porto Alegre i innych południowoamerykańskich miast, wziąć budżety obywatelskie na poważnie i nauczyć się oddolnie zarządzać miejską infrastrukturą strategiczną. I jeśli to wszystko by nam się udało, przyszłoby nam żyć w miejskich enklawach solidarności.

“ **Niewykluczone, że chcąc ograniczyć konsekwencje katastrofy klimatycznej, nasz czas wolny będziemy musieli bez reszty poświęcić na utrzymanie naszych gospodarstw domowych i sąsiedztw. Skurczy się nam wtedy świat. Znaczenia ponownie nabiorą przestrzenie „moje” – moje miasto, moja dzielnica, mój blok – które zaczną funkcjonować, dosłownie, na zasadach wspólnych pastwisk.**

Odsłona trzecia: koniec pracy i co teraz?

Obudziłem się kilka minut przed budzikiem. Dziwne, dawniej musiałem sobie ustawiać dwa, w dwóch różnych smartfonach, a i tak kończyło się na kilku drzemkach. Dziewczyny zawsze śmiały się z moich ambicji, by rano, tuż przed pracą zrobić jeszcze tysiąc i jedną rzecz. Teraz jest inaczej. Mam całe dwie godziny zanim dom wstanie. Zdążę przejrzeć uwagi Krzysztofa do maszynopisu. Toaleta, kawa i do roboty.

Kawa. Jej parzenie to czasochłonny rytuał magiczny. I kosztowny, przynajmniej od czasu, kiedy zaczęliśmy za nią płacić uczciwą cenę. Nic to. Mogę sobie pozwolić na taki zbytek. Kawa pachnie, a myśli krążą wokół tekstu. Biurko zaprasza. Wczoraj je posprzątałem, by móc usiąść do pisania bez wymówek.

Skończyłem pisać nie wiem kiedy. Trochę szkoda kawy, ostygła. Tekst poszedł do kilku osób. W czasie warsztatów z world-building dostanę informację zwrotną.

Dom wstaje. Marta chce, bym odprowadził ją do szkoły. Chce o czymś pogadać. Robię jej ulubione śniadanie. Jemy w trójkę, bo wstała Weronika. Szybko uciekła do kliniki, bo ma dziś ważną operację. Potem mamy spotkać się w parku, przy lodziarni. Podzielimy się wrażeniami z dnia.

Idziemy z Martą, niosę jej tubę z pracą i czekam. Wreszcie pada „to” pytanie. Znowu. Dlaczego zdecydowałem się zrezygnować z pracy, przejść na dochód gwarantowany i zająć się domem? Marta nie rozumie czemu to ja odrzuciłem pracę, a nie mama. Tak po prawdzie to wcale nie to jest jej zmartwieniem. Przejmuje się, że szkoła zmusza ją do dokonania wyboru: specjalizować się w dziedzinach niezbędnych w mocno okrojonej gospodarce, czy w tych, w których chce się rozwijać osobiście?

Pamiętam niedawną reakcję mojej żony, gdy uroczyście oznajmiłem, że już więcej nie chcę wykonywać świetnie płatnej pseudo-pracy. Niemalże rozpadł się wtedy nasz związek. Marta nie rozumie jak to jest, że bezrobotny ojciec zajmujący się domem ma w sobie więcej motywacji i energii, niż senior designer, którym do niedawna był. Nie rozumie, że wybór „podstawki” był aktem odwagi, nie tchórzostwa. Nie tłumaczę jej niczego. Musi dojść do własnych wniosków. Zwracam jej za to uwagę, jak „podstawowi” zmienili nasze otoczenie, jej szkołę, nasze parki. Nie ma galerii handlowych, do łask wraca rzemiosło. Do dyspozycji społeczeństwa oddano szereg „miejsz trzecich”. Ludzie w nich rozmawiają, spotykają się, współtworzą. Owszem, nie jeździmy na wycieczki zagraniczne, nie korzystamy z transportu indywidualnego i nie kupujemy nowych ubrań co sezon. Nikogo nie byłoby na to stać przy uczciwych cenach i obecnych rozwiązaniach podatkowych. Ale każdy może pozwolić sobie na to, by mieszkać w mieście bo inwestowanie w nieruchomości przestało się opłacać. Do tego bez trudu możemy sobie pozwolić na drobne przyjemności.

Idę tak z Martą i mówię, że są ludzie, którzy nie potrafią znaleźć czegoś dla siebie, którym praca ciągle organizuje życie. Ale też, że wielu radzi sobie świetnie bez niej. Przypominam jej o moich warsztatach. Znana pisarka zgodziła się je prowadzić pod dwoma warunkami. Po pierwsze, ona przekaże swoją wiedzę nieodpłatnie. Po drugie, wszyscy kursanci napisane pod jej egidą książki opublikują za darmo.

Skojarzenia z Marksem są w tej odśłonie jak najbardziej na miejscu. Według niego postęp technologiczny był niezbędną składową procesy historyczny. Bezrobocie technologiczne – zakładanym celem, a nie czymś, czego należało się bać. Ale czy nasze społeczeństwa są gotowe na zerwanie z modelem *bullshit jobs*, w którym tkwimy? Czy potrafimy porzucić świat, któremu sens nadaje wyłącznie praca? Nawet ta, która jest naprawdę bez sensu?

Oczywiście to zależy od tego, czy jesteśmy w stanie zaprojektować i kulturowo wdrożyć alternatywne mechanizmy dystrybucji statusów społecznych. Mechanizmy odklejone od naszego stanu posiadania, od sposobu, w jaki się ubieramy i od tego czym podróżujemy i dokąd. Od biedy dzisiejsze kraje nordyckie możemy uznać za toczący się w tej materii eksperyment *in vivo*. W założeniach jest tak, że ludzie, kiedy nie będą mogli realizować się ekonomicznie i w ten sposób rywalizować, przekierują swoją energię na inne sfery, w tym naukę, literaturę i pozostałe sztuki. Że skupią się wtedy na samorozwoju.

Urzeczywistnienie tej wizji zależy od tego, czy nasze gospodarki faktycznie stać na wdrożenie idei dochodu gwarantowanego i czy w takiej sytuacji wciąż ostaną się ludzie, których pasją będzie utrzymanie zaplecza gospodarczego. Przypuszczalnie taki system oznaczałby obniżenie poziomu konsumpcji i spłaszczenie struktur społecznych. Z pewnością miałyby to wpływ na dzisiejsze miasta posadowione na walce statusów i nierównościach. W świecie końca pracy nie byłoby już potrzeby, by zalewać aglomeracje reklamami. Galerie handlowe stałyby się zbyteczne i musielibyśmy znaleźć sobie inne „miejskie maszyny” do spędzania czasu razem, nieoparte na pokazywaniu innym, że jesteśmy lepsi.

“ **Być może w świecie po końcu pracy nie byłoby już potrzeby, by zalewać aglomeracje reklamami. Galerie handlowe stałyby się zbyteczne i musielibyśmy znaleźć sobie inne „miejskie maszyny” do spędzania czasu razem, nieoparte na pokazywaniu innym, że jesteśmy lepsi.**

Odłona czwarta: miasto na laminacjach

Kiedy otworzyłem oczy świeciło już słońce. Na ścianie widniały wybrane statystyki i wskaźniki. Wygląda na to, że algorytmy zarobiły dla mnie 14,5 mT, a mój skoring podniósł się o dwa punkty. Serwis nie wyświetlał mojej pozycji na drabinie, żebym się za bardzo nie stresował.

Przeglądając statystyki dostrzegłem wiadomość: w schowku czekała paczka. To pewnie ta sztuczna wołowina, którą Weronika miała przetestować na swoim kanale. Unboxing jedzenia cieszy się dużo większą popularnością niż sponsorowane testy preparatów medycznych. Z pokoju mojej córki dochodziły jakieś głosy. Chyba uczyła się edycji filmów. Do południa będzie zajęta. Czyli co? Spacer? Może zajrzę do grywalni, posnuję się. Ale najpierw kawa. Zawsze najpierw kawa.

Pijąc zaprojektowaną dla mnie mieszankę spojrzałem przez okno. Świat niezastłonięty HUDem wyglądał, hmm..., specyficznie. Jak świat niezastłonięty HUDem. Źle. Miasto było jednorodne i szare, za wyjątkiem kłujących w oczy plejsholderów. Dokończyłem napój, wrzuciłem kubek do zmywarki, złapałem „patrzałki” i zjechałem na dół. Gogle się zalogowały, wyświetliły statusy. Baterii wystarczy na spacer. Zaczęły laminować obraz już w holu. Szary świat nabrał barw. Na plejsholderach pojawiły się elementy skórki, którą wybrałem na dziś. Wokół ludzi unosiły się rozmaite symbole, ich ubrania były też laminowane. Niektórzy mieli naprawdę kosztowne, robione na zamówienie, jedyne w swoim rodzaju stroje.

Laminacje miasta i mieszkańców zmieniały się każdego dnia. Feeria bodźców, eneftowy kalejdoskop, permanentny karnawał. Patrząc rano na staty byłem w stanie przewidzieć, jakie stroje zobaczę na ulicy. Niemal.

Nie wszyscy byli jednak wystrojeni. Było kilku odHUDzonych. Bez statów unoszących się nad głową, bez laminatów. Czemu? Po co? Z własnego wyboru? Powinęła im się noga na giełdzie? A może nosili jakieś stygmy za oszukiwanie? Wyłączonych było trudno dostrzec. Wyłowienie ich z morza bodźców było wyzwaniem. Podobnie było z „normalnymi” punktami usługowymi. Pracowały cicho za laminatami dostarczając jedzenia. Zwyczajnego, nie takiego na pokaz. Normalnie naprawiając zwyczajne rzeczy. W tym gogle.

Wracamy do prostackiej ekstrapolacji trendów. Tym razem skupiamy się na dematerializacji rynków i takich wynalazkach jak NFT. Z każdym rokiem coraz łatwiej wyobrazić sobie abstrakcyjne, odklejone od materialnej produkcji rynki skupione wokół spekulacji cyfrowymi dobrami, których wartość definiuje nie władza, nie niepisana umowa społeczna, a przekonanie, że kolejny gracz odkupi ode mnie token. „Gracz”, a nie „obywatel”, „konsument”, czy „mieszkaniec”.

To swoisty finansowy Matrix, w którym dobra podstawowe mogą być bardzo tanie, w którym być może gospodarka jest na tyle sprawna, że możemy spełnić podstawowe potrzeby ogółu, wciąż jednak wykonujemy pracę, by pozyskać dobra unikalne, dedykowane, których główną wartością jest to, że nie mają ich inni. Praca została zgrywalizowana, stała się rozrywką. Tym razem to czas wolny zagarnął pracę, nie na odwrót. Praca wciąga i zarazem odciąga od rozmaitych problemów. Celem gry jest zajęcie możliwie wysokiego miejsca w hierarchii. Jest to recepta na koniec pracy inna od tej z trzeciej odsłony.

Ale wysoki status społeczno-ekonomiczny na niewiele się zda, jeśli nie możemy go skutecznie zakomunikować. Skoro status aktualizuje się w czasie rzeczywistym, istnieje rynek dla technologii nadążających z jego komunikowaniem. Potencjalnie taką funkcję mogłyby pełnić rozwiązania z zakresu rozszerzonej i wzbogaconej rzeczywistości, oczywiście w wersji mobilnej. Mogą one współgrać z dedykowaną architekturą miast.

Oczywiście finansowy Matrix wciąż będzie potrzebował infrastruktury. Będą też ludzie wykluczeni i decydujący się na samowykluczenie z gry (zupełnie jak w hazardzie). Oni jednak znikają z obrazu. Dosłownie. A przestrzeń miejska ulega odmiejscowieniu: jest ekranem, na który rzutowane są treści.

“ **Abstrakcyjne, odklejone od materialnej produkcji rynki skupione wokół spekulacji cyfrowymi dobrami wciąż będą potrzebowały infrastruktury. W tym scenariuszu przestrzeń miejska ulega odmiejscowieniu: staje się głównie ekranem, na który rzutowane są treści.** ”

* Część pomysłów zawartych w eseju to efekt współpracy Łukasza Afeltowicza i Jacka Gądeckiego w ramach kierowanego przez tego drugiego projektu NCN SONATA Bis „Dzielnice innowacji?” (2016/22/E/HS6/00144).

O autorach

Dr hab. **Łukasz Afeltowicz**, prof. AGH – profesor w Katedrze Studiów nad Społeczeństwem i Technologią Akademii Górniczo-Hutniczej AGH w Krakowie. Zajmuje się studiami nad nauką i technologią oraz participatory action research; w szczególności interesują go wyzwania środowiskowe związane z rewitalizacją obszarów zdegradowanych, gospodarką odpadami i betonem. Niedawno opublikował z Michałem Wróblewskim „Socjologię epidemii” (UMK).

Prof. dr hab. **Tomasz Szlendak** – dyrektor Academia Rerum Socialium – Szkoły Doktorskiej Nauk Społecznych na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Zajmuje się socjologią obyczajów, kultury i rodziny. Ostatnio opublikował, wraz z Krzysztofem Olechnickim, „Nowe praktyki kulturalne Polaków. Ceremoniały i subświaty” (PWN).